Pożegnanie PANCERNYCH

Tak się żegnają sojusznicy — Janek i Marusia. Na wojnie nic nie wiadomo, może to po raz ostatni... Pamiętacie, jeszcze w czasie pobytu chłopców w szpitalu, Janek i Marusia wyznali sobie miłość i zawarli wzajemny układ aż po grób. Los im sprzyjał, spotkali się znów u brzegów polskiego morza i Janek miał szczęście odzyskanemu ojcu przedstawić narzeczoną Marusię. Na tym telewizyjny film pt. „Czterej pancerni i pies" się kończy, ale nie skończyło się zainteresowanie naszych czytelników losami ulubionych bohaterów — „Pancernych". Czy Marusia powróci z wojny cała i zdrowa? Czy Janek ożeni się z Marusią? „Co będzie dalej z pancernymi?" — oto męczące wielu z was pytanie, a jednocześnie hasło konkursu, który ogłosił łódzki dziennik — „Głos Robotniczy". Czytelnicy wymyślali dalsze dzieje pancernych, 50 zostało nagrodzonych, a 10 otrzymało nagrody z rąk samych „Pancernych". Uroczystość i spotkanie z załogą „Rudego" odbyło się w Łodzi w ubiegłą niedzielę. Co z tego wynikło, czytajcie **na str. 2.**

GORĄCE BRAWA DLA MARKA

HALO, CO SŁYCHAĆ?

TU Szkoła Podstawowa nr 6 w Grodzisku Mazowieckim. Przy telefonie Rita Kałagatel

Niedawno w naszej szkole odbyła się niecodzienna uroczystość. Właśnie byliśmy zgromadzeni na uroczystym apelu poświęconym Warszawie, gdy po skończonej uroczystości p. kierowniczka zaprosiła na scenę naszego kolegę, Marka Dubieleckiego.

Jest on uczniem VII d. Wtedy dopiero dowiedzieliśmy się, że mamy kolegę-bohatera, który zapobiegł katastrofie kolejowej.

Marek, wracając ze szkoły, szedł poboczem kolejowym. Idąc zauważył, że w pewnym miejscu szyna jest pęknięta.

Nadjeżdżał pociąg towarowy, który zdążał do Żyrardowa.

Marek zawrócił i machając rękami dawał maszyniście znaki, aby się zatrzymał. Pociąg stanął w niewielkiej odległości od pękniętej szyny.

Gorąco oklaskiwaliśmy Marka. Na apelu wręczono mu uroczyście mundur harcerski, pas i finkę.

Jesteśmy dumni z naszego kolegi, bo jak zostało później stwierdzone. Marek zapobiegł wielkiej katastrofie. (rj)

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 12 (1586) Warszawa, piątek, 10 lutego 1967 r. Cena 50 gr

ROK 2070 NA KSIĘŻYCU

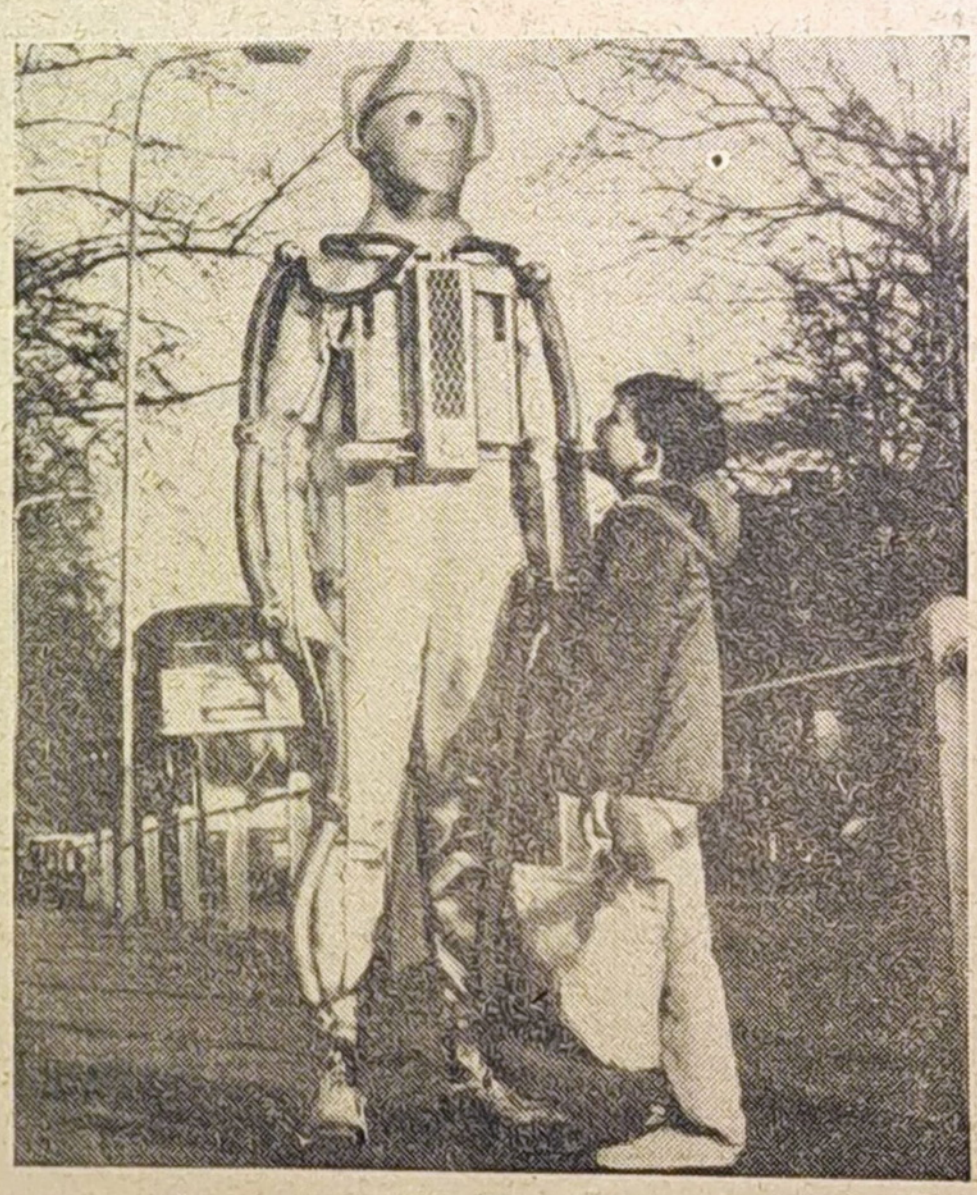

NIEZWYKŁE wrażenie wywołuje sylwetka „cybermena" na ulicy Londynu. Chłopiec jednak bez cienia strachu przygląda się tej dziwacznej postaci. Występuje ona w nowym filmie angielskiej telewizji, w serii pt. „Dr Who". Akcja filmu toczy się w roku 2070, na Księżycu, gdzie przebywa bohater, by walczyć z „cybermenami", którzy zawitali na srebrny glob jeszcze przed człowiekiem.

Foto: CAF

PAJĄKI — POMOCNIKAMI RYBAKÓW

W dżunglach Iranu zachodniego żyją pająki wielkości ptaka, zwane „ptasimi pająkami". Pająki te wyręczają miejscowych rybaków w sporządzaniu sieci do łowienia ryb. A odbywa się to tak: na noc rybacy wynoszą do dżungli wykonane z gałęzi kwadratowe ramy i wieszają je na drzewie. W ciągu nocy pająki utworzą na ramie idealnie równą i mocną sieć pajęczynową. Sieć taka wytrzymuje ciężar do 5 kg.

PANCERNI w ŁODZI

OKAZUJE SIĘ, że z miłości można całować, a można też i udusić... Szczególnie, że tych kochających było tysiące. Niektórzy mówili, że zebrało się ich tej niedzieli więcej niż 200 tysięcy, że przyjeżdżali spod Łodzi, że Łódź nigdy tylu ludzi na raz nie oglądała i że „Pancerni" ledwo uszli z życiem...

Tak, i rzeczywiście, wszystko to widziałam. Pozwólcie więc, że ochłonę z wrażenia i zacznę od początku.

Miało się zacząć pięknie. „Rudy", czyli czołg „Pancernych", stał na podwórku remizy strażackiej na ul. Obrońców Stalingradu, tuż koło Placu Wolności. O godz. 12.30 aktorzy — Janusz Gajos (Janek), Roman Wilhelmi (Olgierd Jarosz), Franciszek Pieczka (Gustlik), Włodzimierz Press (Grigorij) i Janusz Kłosiński (sierżant Czernousow) ubrani w wojskowe mundury, jak w filmie, mieli wyjechać w czołgu razem z Szarikiem na Plac Wolności, a stąd miała się zacząć parada „Rudego" przez Piotrkowską aż do Hali Sportowej. Tam „Pancerni" i realizatorzy filmu: reż. Konrad Nałęcki, operator Romuald Kropat i kierownik produkcji Jerzy Nitecki, mieli się spotkać z publicznością i nagrodzonymi w konkursie „Głosu Robotniczego".

Wyobraźcie sobie, cała załoga i Szarik w czołgu paradują przez Piotrkowską — piękne, co? Wzdłuż całej trasy już od rana oczekiwali ludzie, aby im pomachać — ale się nie doczekali, nie machali, nie było parady, nie było pięknie.

— Chłopaki, jadymy! — zwykle wołał w filmie Gustlik. Tu w Łodzi nic nie mówił. Jak było jechać? Morze ludzi wokoło, dzieciaki pchają się na czołg, siadają na lufie. A z czołgiem wiadomo — nie przelewki, strach pomyśleć. I „Rudy" nie ruszył i ludzie na całej trasie stali na próżno. Milicyjny wóz dowiózł aktorów do Hali Sportowej.

— To gorsze niż wojna! — powiedział przerażony Janek, gdy wreszcie znalazł się w Hali Sportowej, w bezpiecznym miejscu. Tu już nikt nie domagał się od niego autografu, nie pchał się na niego, nie męczył.

„Pancerni" na scenie

STANĘLI WSZYSCY RAZEM. Janek trzymał Szarika. Zerwały się oklaski, miłe twarze załogi rozjaśnił uśmiech. Tak, oni dziękują, szczerze dziękują za te dowody sympatii, cieszą się ze spotkania. Harcerze wręczają im czerwone goździki, oni wręczają nagrody laureatom konkursu. Na scenie pojawia się szef telewizyjnego Klubu Pancernych — red. Maciej Zimiński pozdrawia załogi i Naczelnemu Redaktorowi Głosu Robotniczego wręcza hełmofon i legitymację honorowego członka klubu.

Entuzjazm rośnie, Szarik szczeka z radości, tym bardziej, że zbliża się do niego przedstawicielka Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i wręcza mu nagrodę w postaci serdelowej kiełbasy.

Realizatorzy filmu i aktorzy odpowiadają teraz na pytanie: „Co było dla mnie najtrudniejsze w filmie i jaki moment filmu najbardziej mi się podobał?" Każdy oczywiście ma inne wrażenia. Reżyser Konrad Nałęcki przez cały czas nakręcania filmu czuł się jak dowódca na wojnie. Szarik nie sprawiał mu trudności, bo zawsze pod bokiem był sierżant MO, pan Leon Sosnowicz, który potrafił każdy rozkaz reżysera przetłumaczyć na psi język. Pan Leon Sosnowicz pojawia się także na scenie, zrywają się brawa dla niego i dla Szarika.

Dowódca czołgu Janusz Wilhelmi mówi szczerze, że najbardziej podobały mu się sceny, w których on sam nie brał udziału. Wtedy dopiero mógł się przyglądać innym. Franciszek Pieczka przyznał się publicznie, że najtrudniej to mu było utrzymać powagę w scenie nad grobem dowódcy. Nie mógł się powstrzymać od śmiechu, bo żywy porucznik Olgierd, czyli Janusz Wilhelmi, stał z boku i wyczyniał śmieszne miny.

Szarik dostał kiełbasę, ale nie rzuca się na nią, jak zwykły, pierwszy lepszy, kundel bez wychowania. Zachowuje się godnie i spokojnie, choć na kiełbaskę idzie mu ślinka. Zaczął ją jeść dopiero wtedy, gdy pan sierżant Sosnowicz mu na to pozwolił.

Foto J. GŁOWACKI

„Pancerni" w Łodzi na czołgu. Widzicie, co się tu dzieje? Czołg obsiadły dzieciaki i ani rusz. Delikatni, sympatyczni wojskowi czują, są na płacz dzieci i gotowi je wszystkie przytulić do pancerniackiego łona.

Janusz Gajos znów ma jasne włosy, wszyscy go poznają natychmiast. Skromnie stwierdza, że łatwych scen w filmie dla niego nie było, a już z małpą nie mógł sobie zupełnie poradzić.

Włodzimierz Press zapuścił wąsy, jak w filmie, i mówi, że najtrudniej było mu udowodnić widzom, że jest Gruzinem. A to, że mu się to udało, sprawdził dopiero wtedy, gdy go własna rodzina nie poznała.

Janusz Kłosiński, czyli sierżant Czernousow, opiekun Marusi, przekazał wszystkim pozdrowienia od niej, gdyż sama nie mogła przybyć na spotkanie. Operator Romuald Kropat uznał, że Szarik jest ogromnie fotogeniczny i bardzo go lubił filmować. Kierownik produkcji Jerzy Nitecki odetchnął z ulgą. Trudności i pracy było dużo, prawdziwa wojna o wszystko, zaczynając od najdrobniejszych rzeczy, kończąc na grubym zwierzu, a więc na tygrysie.

Co dalej z „Pancernymi"?

TEGO NIKT NIE WIE, chyba że sam autor Janusz Przymanowski. Odszukałam go w Domu Związku Literatów w Oborach, gdzie zaszył się po to, aby pisać dalszy ciąg „Czterech pancernych i psa".

— Czytelnicy w konkursie „Głosu Robotniczego" i tak poza konkursem uważają, że Janek powinien się ożenić z Marusią. Co Pan o tym sądzi?

— Ja jeszcze nic na pewno nie wiem. Proszę pomyśleć, czeka ich jeszcze mnóstwo przeżyć i przygód: forsowanie Odry, walki na przyczółku, bitwa o Berlin... Kto wie, co się może zdarzyć...

— Oj, proszę pana, my wszyscy tzn. ja i te parę tysięcy telewidzów i czytelników mamy nadzieję, nie, my chcemy, żeby nikt już nie zginął. Niech Pan to weźmie pod uwagę.

— Będę się starał. W 13 następnych odcinkach telewizyjnych chciałbym doprowadzić „Rudego" wraz z załogą i psem oczywiście aż do Berlina, a potem z powrotem do Wrocławia i Katowic. Ostatni odcinek chciałbym, aby się rozegrał w domu Gustlika na Śląsku.

— A kiedy będziemy mogli usiąść przed telewizorem w nadziei ujrzenia naszych ulubieńców?

— Trudno powiedzieć, dopiero zaczynam. Jak nic nie stanie na przeszkodzie, jak nikt nie nawali, to może w końcu 1968 roku, będzie można zobaczyć cały film od początku do końca — razem 21 odcinków. Wyjdzie też drugi tom powieści w książce, być może, że stanie się to jednocześnie.

— Czytelnicy dopominają się także o pierwszy, którego nie można dostać.

— Książka się szybko rozeszła, ale Wydawnictwo MON obiecuje, że już w kwietniu ukaże się znów 40 tys. nowego nakładu „Czterech pancernych i psa".

— Co chciałby Pan powiedzieć swoim czytelnikom?

— Chciałbym ich prosić o wyrozumiałą cierpliwość. Z „Pancernymi" żegnamy się nie na zawsze. Zwracam się też do członków Klubu Pancernych. Klub na razie zawiesił swoją działalność w telewizji, ale to nie znaczy, że pancerni mają być bezczynni. Powinni oni pożytecznie działać u siebie, na swoich „podwórkach". Klub działalność wznowi; przechowujcie więc starannie legitymacje. Kiedy do klubu przystąpią nowi członkowie, wy będziecie już weteranami i może zorganizujemy Zlot Weteranów — wszystko jest możliwe...

Zostawmy więc pisarza w oborowskiej głuszy, gdzie wokół nic tylko płaska cisza, drzewa za oknami i stukot dzięcioła o szybę. To autor uwiesił różne przysmaki za oknem dla skrzydlatych przyjaciół.

„Pancerni" są wśród nas

ZACZĘLIŚMY OD MIŁOŚCI, wróćmy więc do miłości, wszak o niej można nieskończenie. Miłość miłości nie równa i tak każdy kocha, jak go na to stać. Nie jest to dobra miłość, gdzie się myśli jedynie o sobie, a zapomina się o obiekcie swoich uczuć. To, co nam sprawia radość, osobie lubianej może być przykre.

„Pancerni" są wśród nas i może się zdarzyć, że spotkamy ich na ulicy w sklepie, w tramwaju. Nie rzucajcie się na nich, prosząc o autografy, nie zadręczajcie listami z prośbą o fotografie, nie wytykajcie palcem przy spotkaniu. Wyrażajcie swoją sympatię w sposób przyjemny i kulturalny.

Wybaczcie te morały na końcu, ale żal człowiekowi, że parady nie było, że wiele małych dzieci odeszło z płaczem, bo czołgu nie widziało. A może i Janek żałuje, że nie mógł przejechać się „Rudym" przez Piotrkowską? Przyznacie, że i aktorowi rzadko się taka okazja nadarza. Widzicie, a wszystko przez tę głupią, egoistyczną miłość

B. TYLICKA

Błękitny DYM

PRZEZ blisko dwa miesiące prowadziliśmy na łamach „Świata Młodych" walkę z paleniem papierosów. Próbowaliśmy w sposób rzeczowy przedstawić wam, na jakie niebezpieczeństwa naraża się dobrowolnie każdy palacz. Wiemy na pewno (z listów), że niektórych z was nasze argumenty i argumenty naszych czytelników — przekonały. Cieszymy się z tego!

Pragniemy podziękować wszystkim, którzy zabrali głos w naszej dyskusji. Każdy list, nawet jeśli nie został wydrukowany, ogromnie nam pomógł w redagowaniu kącika „Błękitnego dymu".

Na tym kończymy na łamach „Świata Młodych" dyskusję o paleniu papierosów. Ale powinna się ona toczyć nadal w szkołach, w drużynach harcerskich, w klubach młodzieżowych, między przyjaciółmi. Zachęcamy was do kontynuowania antypapierosowej i antyalkoholowej kampanii, bo sprawa jest naprawdę bardzo ważna.

Jak odzwyczaić się od palenia papierosów?

ZDECYDOWANA większość palaczy rozumie, że sobie szkodzi. Nie potrafią jednak sami uporać się ze swoim nałogiem. „Próbowałem (lub próbowałam) już kilka razy rzucić palenie, ale brak mi silnej woli wytrwania w postanowieniu" — piszą najczęściej. „Droga redakcjo, poradź, jak się od tych diabelskich fajek odzwyczaić?" — tak kończy się prawie każdy list.

Najważniejszym czynnikiem, który decyduje o powodzeniu w akcji odzwyczajenia się od palenia, jest mocne postanowienie, że papieros nie jest mi potrzebny do szczęścia. Jeśli ktoś z góry zakłada, że ma słabą wolę i nie wytrwa — to niech lepiej nie zawraca sobie głowy. Twierdzimy jednak, że nie ma człowieka, który nie potrafiłby odzwyczaić się od palenia, jeśli tylko tego pragnie.

Prof. dr Franciszek Venulet z Akademii Medycznej w Łodzi, jest w Polsce jednym z największych specjalistów w tej dziedzinie. Posłuchajmy więc jego rad.

Profesor zaleca, aby palenie rzucić od razu. Odzwyczajanie się stopniowe, przez dzienne zmniejszanie porcji wypalanych papierosów, w zasadzie kończy się niepowodzeniem. Trzeba sobie twardo powiedzieć, że „raz kozie śmierć" i trzymać się tego postanowienia. Zaraz po rzuceniu palenia trzeba znaleźć dla ust jakieś „zajęcie". W czasie palenia właśnie usta i jama ustna odgrywają czynną rolę, nie można więc pozostawiać ich bezczynnie. Dobrze robi ssanie wolno rozpuszczających się cukierków, zwłaszcza mocnych miętowych lub eukaliptusowych. Świetna jest też guma do żucia.

W czasie „kuracji antypapierosowej" unikajcie towarzystwa palaczy, chętnie częstujących papierosami. Gdy wytrwacie przez kilka dni nie paląc, będziecie dumni z samych siebie. Szybko przekonacie się, że macie lepszy apetyt, że potrawy odzyskują swój naturalny smak.

Profesor Venulet zaleca również, aby postanowienie zaprzestania palenia podejmować kolektywnie, całą paczką lub przynajmniej w dwie osoby. Szlachetne współzawodnictwo oraz wzajemna kontrola przyczynią się bardzo do odniesienia zwycięstwa — czego wszystkim „Świat Młodych" serdecznie życzy.

TRZY GRUPY PALACZY

PODOBNIE jak większość nastolatków paliłam papierosy. Wszyscy moi koledzy i prawie wszystkie koleżanki również palą. Niedawno poznałam chłopca w moim wieku. Zauważyłam, że choć przebywa on czasem w nieodpowiednim towarzystwie, ale mimo to nie pali. Kiedyś przy okazji zapytałam go, co sądzi o paleniu.

„Uważam, że palaczy należy podzielić na trzy grupy. Pierwsza, w której skład wchodzi większość palących. Palą oni przede wszystkim dlatego, że palenie jest zabronione i właśnie to im sprawia satysfakcję, że robią wbrew zakazom, na złość. Druga grupa to tacy, według których palenie świadczy o dorosłości i jak to mówią „wyrobieniu". W tym wypadku bardzo się mylą, bo naśladując dorosłych raczej dziecinnieją. Wreszcie trzecia i według mnie ostatnia grupa to ci, którzy palą, bo palenie po prostu im smakuje".

Po tej rozmowie długo zastanawiałam się, do jakiej grupy należę i doszłam do wniosku, że chyba do pierwszej. I właśnie wtedy pomyślałam, że to jest głupota, że teraz już prawie wszyscy palą i właściwie ten idiotyczny bunt nie ma sensu. Postanowiłam zrobić odwrotnie — zbuntować się przeciwko tym nastolatkom, którzy palą, i prawie natychmiast przestałam palić. Gdy moje koleżanki i koledzy dowiedzieli się, dlaczego zrezygnowałam z palenia, doszli do wniosku, że mam rację i nie ma się dalej co zgrywać. Dziś już prawie wszyscy z mojej paczki rzucili palenie.

A teraz do wszystkich: wiem, że filmy, odezwy czy pogadanki o tym, jak szkodzi palenie, nic was nie wzruszają. Wręcz przeciwnie, na pewno po obejrzeniu takiego filmu palicie jeszcze więcej (przynajmniej ja tak robiłam). Więc nie piszę żadnego referatu na ten temat, ale przemyślcie to sami. Jestem pewna, że jeśli naprawdę rozważycie tę sprawę, to większość z was zrezygnuje z palenia papierosów.

„MAJKA"

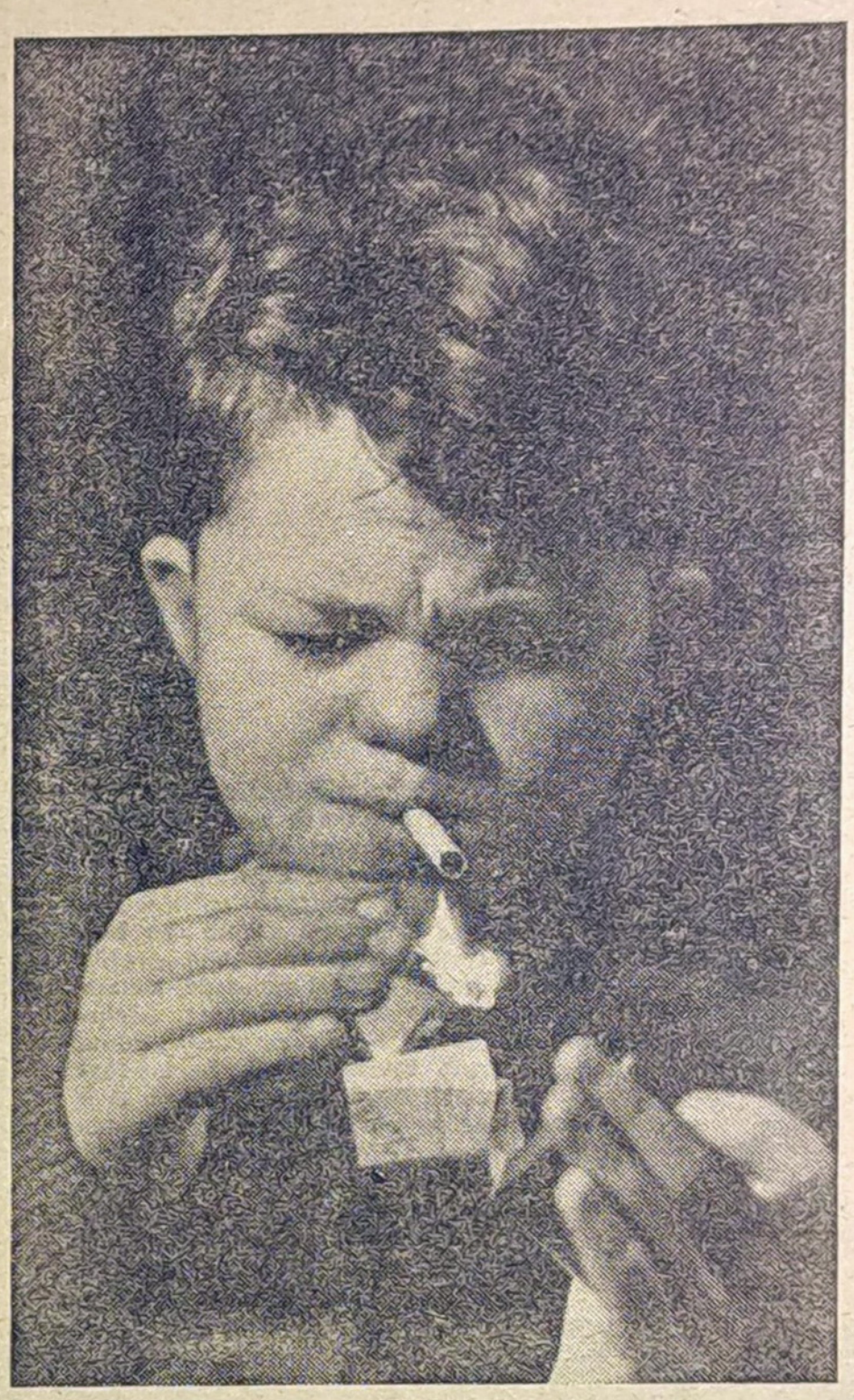

Statystyka przeraża

WŁAŚNIE siedziałem w domu, gdy wszedł listonosz i położył na stole „Swiat Młodych". Paliłem papierosa. Wziąłem gazetę do ręki, na pierwszej stronie widniał napis: „Błękitny dym". Po przeczytaniu tegoż artykułu zgasiłem papierosa i pozostałą zawartość „Giewontów" cisnąłem do pieca.

Na pewno niejeden z „palaczy" potrafiłby zrobić to samo co ja, ale jaki byłby jego następny krok?

Ja postanowiłem — nigdy więcej nie będę palił papierosów. Nie mam zamiaru nikogo odstraszać, ale myślę, że uczyni to moja statystyka. Palę od trzech lat. I obliczyłem, że wydałem już na papierosy ponad 6 tysięcy złotych!

Cztery razy za palenie miałem obniżony stopień ze sprawowania. Dosyć? Dosyć! Wiem, że to niełatwa decyzja, ale tylko własna stanowczość może w tym nam pomóc.

A wy, dziewczęta, weźcie na nas — „palaczy" kije i przeprowadźcie „reformę dymną".

RINGO

Sama nie mogę sobie poradzić

TRUDNO, wstyd powiedzieć, ale jestem nałogowym palaczem. Nauczyłam się tego od rodziców i starszego brata. Próbowałam palić papierosy już od 14 roku życia. Nęciły mnie papierosy położone na stole przez mamę lub tatę. A teraz bardzo pragnę oduczyć się palić. Już koleżanki i koledzy straszyli mnie, przestawałam wówczas palić, ale nie na długo. Teraz znowu przestraszyłam się, już poważnie, ale mimo to chce mi się palić. Przyznam szczerze, że kilka razy dostawałam po głowie od mamy.

Nie myśl przypadkiem, Droga Redakcjo, że palę nawet w publicznych miejscach — o nie! Kiedy jestem w towarzystwie starszych od siebie, to nie palę. Najgorsze, że jak chce mi się palić w szkole, to nie ma gdzie wyjść, aby sobie zapalić. W naszej szkole, wyrzucają za palenie papierosów. Chciałabym podyskutować z kimś i dowiedzieć się, jak oduczyć się palić. Może ty, Redakcjo, poradzisz jak to zrobić.

STAŁA CZYTELNICZKA

KOŹLARZE

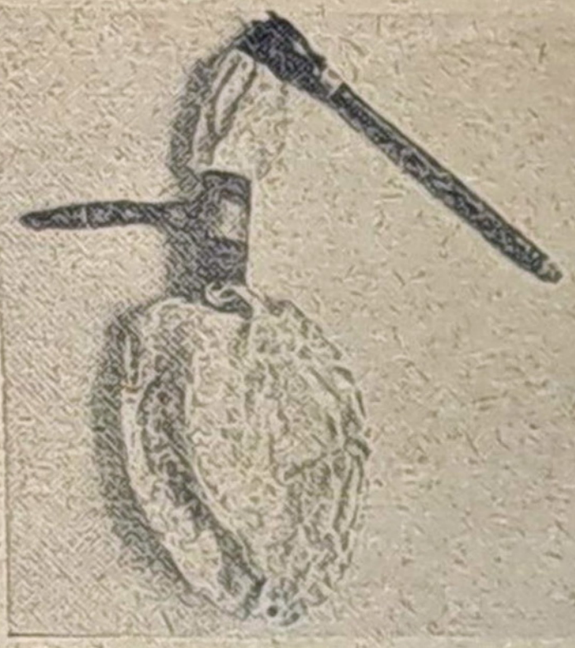

To jest siesienka, jakby przedszkolny instrument do gry na koźle. Z lewej strony znajduje się ustnik, przez który wdmuchuje się ustami powietrze do zbiornika zrobionego z pęcherza. Z prawej strony widzicie przebierkę z odpowiednią ilością otworów (jak w fujarce).

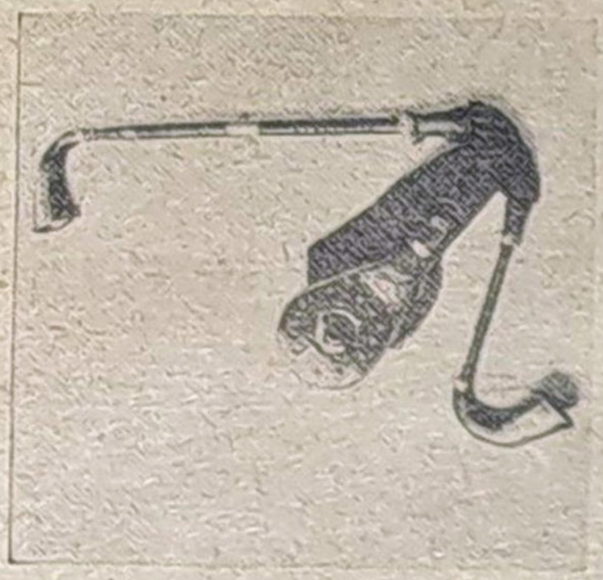

Kozły wielkopolskie należą do dużej rodziny instrumentów ludowych, zwanych dudami. Intrumenty te pochodzą z Azji, a do Europy przywędrowały już za czasów Nerona. W Polsce najdawniejsza wiadomość o dudach zachowała się z XIV w.

Na zdjęciu widzicie kozła ślubnego. Różni się on od weselnego tym, że zamiast miecha z piękną sierścią kozy na wierzchu, posiada gładki, skórzany worek. Jest ponadto nastrojony na inną tonację. Pozostałe szczegóły są takie, jak w koźle weselnym.

Oto, jak wygląda kozioł weselny. Na miechu (zbiornik na powietrze) zrobionym z koźlej skóry, widzicie dymkę. Poruszając dymką uzupełniamy stale powietrze w miechu. Urządzenie z lewej strony to bąk (zadni róg), który w czasie grania jednostajnie buczy, nadając muzyce charakterystyczną barwę. Melodię wygrywa się na przednim rogu, na którym znajdują się w wydłużonej części otwory przebierki. Kozioł weselny posiada jeszcze dla dekoracji piękny łeb ozdobiony rogami.

mistrza ŚLIWY

KIEDY SIĘ ZDECYDOWAŁ, miał nie więcej jak 14 lat. Przyczynili się do tego, w dużej mierze, jego starsi bracia. Ile razy bowiem chciał spróbować zagrać na ich kozłach, zawsze słyszał to samo:

— Zostaw, smarkaczu, bo zepsujesz.

Ale Tomek myślał inaczej. Czuł, był pewny, że gdyby mu dali instrument do ręki, to na pewno by potrafił zagrać. Ile to razy podpatrywał koźlarzy, jak grali na weselach, zabawach, na chrzcinach. Wydawało mu się to nawet bardzo proste. **Chwytasz pod lewą pachę worek kozła, pod prawą — dymkę, bąka zarzucasz na plecy, a w obydwu rękach trzymasz przebierkę, niczym fujarkę. Prawym łokciem poruszasz dymkę, która pompuje powietrze do worka. Stąd, naciskając lekko worek lewym łokciem, powietrze idzie na stroik i do przedniej trąby. Przebierając palcami wygrywasz melodię.**

Tomek był tak pewny swoich umiejętności, że wreszcie postanowił uniezależnić się od braci i zrobić sobie własnego kozła.

„A jeśli znowu mnie wyśmieją?" Długo nosił się z zamiarem powiedzenia o tym w domu. A powiedzieć musiał, bo skąd miałby wziąć kozła? Nie wtajemniczonym wyjaśniam, że zbiornik na powietrze (worek) jest wykonany ze skóry całego kozła (lub kozy) i to koniecznie białego. Któregoś dnia jednak zebrał się na odwagę. Patrzyli na niego jakby się przesłyszeli.

— Ty chcesz zrobić kozła? A fujarka ci nie wystarczy? — śmiali się do rozpuku.

Od tego czasu Tomek nigdy już nie zwracał się do braci z żadną prośbą. Postanowił zrobić po kryjomu siesienki. Do tego nie potrzebował koźlej skóry, a tylko pęcherz świni lub wołu. Dłubał swoje siesienki całe lato, bez niczyjej pomocy. Nawet kiedy instrument był już gotowy, nie przyznawał się nikomu.

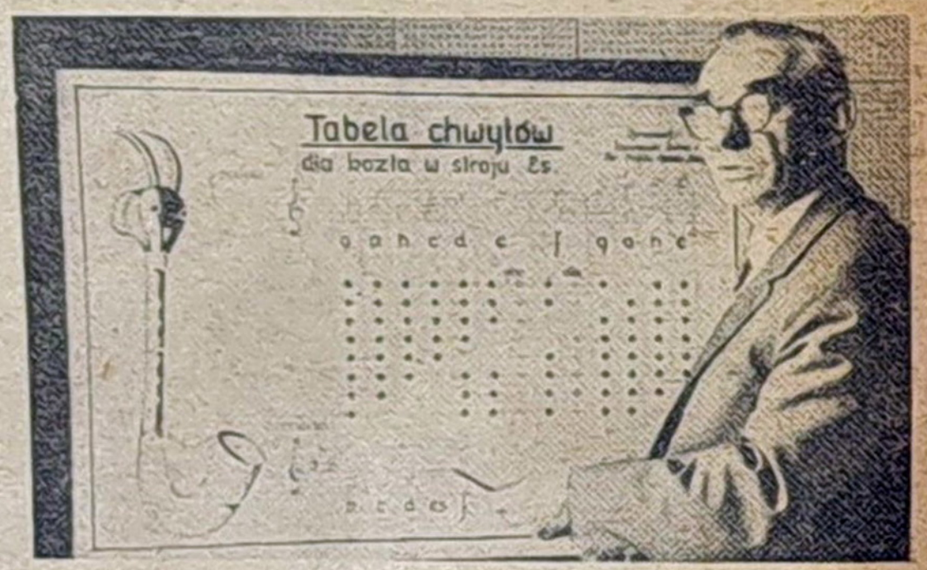

Tak wyglądają nuty do gry na koźle — wynalazek dyrektora szkoły, pana Antoniego Janiszewskiego (na zdjęciu). Te czarne kropki odpowiadają ilości zakrytych palcami dziurek na przebierce kozła.

Tekst
ST. BOROWIECKI
Zdjęcia
J. DĄBROWSKI

NAJDŁUŻSZY MOST EUROPY

NAJPIERW trzeba sprawdzić na mapie z czego się składa Dania. Okaże się, że ten 5-milionowy kraj to część lądu stałego Europy (Półwysep Jutlandzki) — oraz wyspy. Największe nazywają się: Zelandia (na niej leży stolica, Kopenhaga), Fionia, Lelland, Felster, Bornholm i inne.

Po drugie — trzeba sprawdzić czym Morze Bałtyckie łączy się z Morzem Północnym. I wtedy okaże się, że te dwa morza łączą się tylko wąskimi cieśninami, które się nazywają:

Sund — między Szwecją a wyspą Zelandią (4 km szerokości).

Mały Bełt — między Półwyspem Jutlandzkim a wyspą Fionią (ok. 1 km szerokości)

Wielki Bełt — między Zelandią a Fionią (20 km szerokości).

I już widać, co to znaczy Wielki Bełt. **To jest punkt, gdzie się krzyżują szlaki morskie z Bałtyku na Morze Północne oraz szlak lądowy z Norwegii i Szwecji na południe.**

Lądowy szlak jest „przerwany" morzem. Dlatego, że nie ma mostów ani przez Sund ani przez Wielki Bełt. Istnieją tylko promy, które przewożą ludzi, samochody, nawet pociągi. Jedynie przez Mały Bełt wiedzie most.

Ale potężny, 20-kilometrowej długości most przez cieśninę Wielki Bełt — będzie. Jeżeli masz teraz 12 lat, to w chwili otwarcia mostu będziesz miał (albo miała) prawdopodobnie 24. Może przejedziecie kiedyś samochodem nad tą potężną cieśniną?

JAK Z WROCŁAWIA DO OLEŚNICY

KAPITANOWIE STATKÓW, które płyną przez Wielki Bełt nie mają łatwego zadania.

No a ci, którzy będą projektowali most?

Co prawda pośrodku cieśniny leży niewielka wyspa, która nazywa się Sprogö — i to ułatwia sprawę — ale też 20 kilometrów to mniej więcej tyle, co z Wrocławia do Oleśnicy, a więcej niż z Olsztyna do Barczewa, czy z Sandomierza do Tarnobrzegu.

Zacząłem szukać w encyklopediach, jaki też jest najdłuższy most na świecie. Pomijając różne systemy wiaduktów, albo całe zespoły mostów — okazało się, że taki cały, jednolity most nad Wielkim Jeziorem Słonym w Ameryce liczy 31 km długości, a drugi na liście, koło San Francisco — 17 km.

Nie wiadomo, czy cokolwiek takiego długiego nie powstało gdzieś indziej na świecie w ostatnich latach, ale jest pewne:

Most przez Wielki Bełt będzie NAJDŁUŻSZYM MOSTEM EUROPY. 20 km!

„TO BYŁA CIEKAWA ROBOTA"

POWIEDZIAŁ NAM to pan inżynier Stanisław Tucholski, człowiek który zaprojektował już niejeden most, ale takiego — nigdy. Miał okazję, bo ogłoszono w

Dwaj uczniowie mistrza Śliwy — Staszek Wolny (z lewej) i Alojz Kamieniczny — demonstrują nam grę na kozłach. Dźwięk tych „egzotycznych" instrumentów jest bardzo donośny, czysty i miły dla ucha. Obydwaj grają na kozłach już trzy lata. Grają dobrze, ale nie doścignęli jeszcze w mistrzostwie swego nauczyciela. Wiele jeszcze trzeba będzie się uczyć, aby dojść do perfekcji. Staszek, tak jak kiedyś mały Tomek, rozpoczął trudną sztukę budowy kozła.

wał się nikomu. Teraz mógł grać, ile dusza zapragnie.

Tomek staje się mistrzem nad mistrze

MAŁEMU TOMKOWI ŚLIWIE, kiedy budował swoje pierwsze siesienki, nawet na myśl nie przyszło, że kiedyś swoimi umiejętnościami pobije na głowę starych mistrzów, że stanie się jednym z najsłynniejszych koźlarzy w Polsce. Mistrzostwo przyszło jednak dopiero po kilkudziesięciu latach ciągłych udoskonaleń swojego instrumentu i swojej gry.

I wtedy już, jako dorosły mistrz, Tomasz zdobył podwójną sławę — jako najlepszy twórca kozłów oraz najlepszy muzyk w grze na tym instrumencie. Własnymi rękami zrobił już około setki kozłów i siesienek. A ilu wyuczył grać na tych instrumentach uczniów — nikt nie zliczy. Dzięki niemu stary instrument ludowy znowu przechodzi swoją młodość.

Stolica polskich kobziarzy

UMIEJĘTNOŚĆ GRY NA KOŹLE, kiedyś znana w całej Wielkopolsce, najsilniej przetrwała w okolicy Zbąszynia. W miasteczku jest nawet Państwowa Szkoła Muzyczna im. Stanisława Moniuszki, która jako jedyna w Polsce prowadzi klasę instrumentów ludowych. Pan Śliwa jest właśnie w tej szkole nauczycielem gry na kozłach. Przy szkole istnieje również Stowarzyszenie Muzyków Ludowych, zrzeszające przeszło 200 osób.

Przed kilku laty dyrektor szkoły, pan Antoni Janiszewski, zamarzył sobie stworzenie wielkiego widowiska estradowego, ludowego, w którym kozły miałyby grać razem z innymi instrumentami.

— Ależ panie dyrektorze, kozły nie będą stroić z akordeonami, trąbkami i czym tam jeszcze chcecie — żachnął się na tę propozycję Mistrz Śliwa. I miał trochę racji. Kozły grają tylko w jednej tonacji, czyli stroju — jak mówią. Do tej pory grało się na tych instrumentach tylko ze słuchu, zresztą nut nie było. Dyrektor Janiszewski wiedział o tych trudnościach, ale całą sprawę dokładnie przemyślał i stworzył dla kozła ślubnego, weselnego i siesienek specjalne nuty, które nazwał tabelami chwytów. Wynalazek dyrektora okazał się bardzo pomocny. Teraz każdej nucie odpowiadał dokładnie określony układ palców na przebierce kozła. Kiedy po wielu próbach połączono koźlarzy z innymi instrumentami, mistrz Śliwa zamienił się w słuch. Ciągle nie dowierzał że może coś z tego wyjść. Zagrali.

— Psiakość, jednak stroją! — uśmiechnął się zadowolony. Ale bardziej od Śliwy cieszył się dyrektor Janiszewski. Kozły zyskały przecież awans do wielkiej rodziny nowoczesnych instrumentów.

Znani są w Polsce i na świecie

WPĘKATEJ kronice szkoły zanotowane są wszystkie ważniejsze wydarzenia. Wśród dziesiątków wycinków prasowych z polskich gazet i czasopism znajdują się i zagraniczne: ze Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Anglii... Najwięcej denerwowali się przed wyjazdem na występy do Szkocji. Wiadomo, szkoccy kobziarze znani są w całym świecie, cóż my przy nich znaczymy? Jechali z „duszą na ramieniu", a wracali uszczęśliwieni. Polscy koźlarze po prostu podbili Anglię. Nieskorzy do pochwał Szkoci przyznali że dźwięki wydawane przez nasze instrumenty są przyjemniejsze dla ucha i nie tak wrzaskliwe jak ich kobzy

Niezwykła muzyka na niezwykłych polskich kozłach dotarła nawet do Australii. Właśnie kiedy byliśmy w Zbąszyniu do Mister Śliwy przyszedł list z piątego kontynentu, w którym autor zachwyca się grą naszych koźlarzy.

Mistrz Śliwa, chociaż jest już po siedemdziesiątce, w dalszym ciągu przekazuje swoją wiedzę innym. Przed paroma latami wyuczył gry na koźle kilku chłopców z zespołu „Mazowsze". Na zrobionych przez niego instrumentach rozsławiają obecnie polską muzykę po całym świecie.

Do tych wszystkich sukcesów doszedł własną pracą, będąc przez całe życie genialnym samoukiem.

Danii konkurs. Właśnie na projekt mostu przez Wielki Bełt. Pan Tucholski bierze więc udział w konkursie, bo opracował projekt, wspólnie z dwoma kolegami.

Rozmowa powinna być właściwie bardzo długa (skoro most jest aż tak długi...), ale musimy wiedzieć w tej chwili tylko to, co najważniejsze. A więc.

— Czy ten most będzie wysoki, czy niski?

— Wysoki... To znaczy w jednym punkcie, tam gdzie przez cieśninę wiedzie główny szlak żeglugi, most musi być wzniesiony najmniej 60 metrów nad wodę. Czyli mniej więcej tyle wysokości, co 20 pięter.

— A czy cieśnina jest głęboka?

— W najgłębszym miejscu ma 58 metrów...

To jest niby nie dużo, skoro Ocean Spokojny ma głębokości 10 i więcej tysięcy metrów — ale wystarczy. Podpory mostu muszą być mocno osadzone w gruncie, kilkadziesiąt metrów. A więc razem...

118 metrów i jeszcze kilkadziesiąt. Wystarczy.

Chcemy jeszcze wiedzieć, jak długie będą przęsła.

— W warunkach konkursu podano — mówi pan Tucholski — że właśnie tam, gdzie przepływają statki, przęsła muszą mieć długość po 350 metrów. A jeżeli byłoby jedno — to 450.

— A co będzie na moście? Szosa na pewno—

— Autostrada o dwóch jezdniach, każda najmniej czternastu metrów szerokości. No i jeszcze kolej, dwa tory. Tak to ma być zrobione, żeby mogły tędy w przyszłości kursować pociągi elektryczne z szybkością nawet 160 km/godz.

A samochodów ma przejeżdżać rocznie przez most... dwa miliony.

Ciekawe? Tak! Nawet więcej, bo ARCYCIEKAWE. Taka okazja zdarza się raz w życiu... Projektować najdłuższy most w Europie. Toteż ci wszyscy Polacy, którzy zgłosili swoje projekty na konkurs, nie za bardzo nawet zwracali uwagę na to, jakie wyznaczono nagrody (dotąd jeszcze nie zostały przyznane, rozstrzygnięcie — będzie dopiero). Życzymy im tego. Ale rozumiemy, że najważniejsza rzecz to jest sama robota, okazja, emocja.

— To jest przygoda dla inżyniera — powiedział nam jeszcze pan Tucholski.

Niewiele byłby wart nawet najmniejszy most, gdyby dokładnie nie została obliczona wytrzymałość materiałów, z jakich jest zbudowany, nośność konstrukcji, napór wody i wichru oraz jeszcze sto innych rzeczy. No, a cóż dopiero TAKI most... czterysta tysięcy ton stali!

Most będzie się budowało 10 do 12 lat.

Ponieważ piechur idzie przeciętnie z szybkością 5 kilometrów na godzinę, trzeba by iść — cztery godziny. Kto chce niech jedzie. Ja pójdę piechotą. Bo czy nie warto — nawet gdyby nogi miały ciężko chodzić w zawiasach — wędrować przez taki most.

ADAM CHOWAŃSKI

Grzegorz Chlebowski

Bohaterowie SĄ WŚRÓD NAS

TAK SKOŃCZYŁA SIĘ jedna z najbardziej brawurowych akcji ruchu oporu. Kierownictwo konspiracji wysoko oceniło bohaterstwo uczestników wyprawy na więzienie pińskie. „MSZ" i „Antoni-Mały" rozkazem Komendanta Głównego AK zostali mianowani podporucznikami czasu wojny, „Ponury" i „Czarka" otrzymali Krzyże Virtuti Militari, zaś „Kawa", „Kra", „Wrona", „Monter", „Jurek", „Ryks", „Kmicic", „Drucik", „Jelina", „Esesman", „Kapelan", „Wujek" i „Ryś" — Krzyże Walecznych.

Do końca wojny od tamtego styczniowego wieczoru 1943 r. było jeszcze dwa i pół roku. I odbijający i odbijani walczyli dalej, biorąc udział w wielu pięknych akcjach. Wielu z nich nie dożyło wolności, padli w walce, część zaś żyje wśród nas, skromni, niewidoczni. Spotykamy się z nimi codziennie, a nie wiemy, czego dokonali.

Czas już chyba uchylić rąbka tajemnicy i ujawnić ich nazwiska oraz dalsze losy.

A więc najpierw odbijani. Dwóch z nich — kpt. „Wania" i por. „Ryś" żyją do dziś. „Wania" — dr Alfred Paczkowski, zaraz po odbiciu, mimo nie zagojonej nogi, wyruszył w białostockie, gdzie kierował dywersją. W powstaniu warszawskim dowodził odcinkiem na Mokotowie. Po wojnie awansowany do stopnia podpułkownika — wrócił do pracy w służbie zdrowia i dziś jest kierownikiem Wydz. Zdrowia w Żyrardowie pod Warszawą.

Por. „Ryś" — Czarnecki, walczył aż do powstania w konspiracji, a dziś mieszka w Tolkmicku. Trzeci więzień piński — „Azorek" nie ujawnił nawet swego nazwiska. Po odbiciu znalazł się w Warszawie i wraz z „Ponurym" i „Czarką" poszedł w Góry Świętokrzyskie, gdzie walczył w partyzantce. Zginął 13 października 1943 r. w Wielkiej Wsi broniąc w czasie niemieckiej obławy swego dowódcę — por. „Robota".

Z trójki dzielnych kierowców nie żyje już nikt. Pierwszy — „MSZ" — Władysław Hackiewicz, został aresztowany w półtora miesiąca po rozbiciu więzienia. To był wyjątkowo dzielny człowiek. Dowiedział się, że można na podstawie podrobionego upoważnienia wywieźć z niemieckich magazynów w Kielcach dwa rkm-y. Pojechał tam na własną rękę, został jednak aresztowany i, nim zginął, gestapo męczyło go półtora miesiąca.

Drugi — „Wujek" — Antoni Langner, był potem w oddziale, który kupował od Węgrów i Włochów broń dla konspiracji, a w czasie powstania walczył w sławnym oddziale „Czata 49". Zginął 9 września 1944 r. przy ul. Książęcej.

Trzeci — „Monter" — Edward Pobudkiewicz, zmarł pół roku temu, w maju ub. r. w Warszawie na Pradze. Ten zasłużony żołnierz do końca swoich dni był wierny swemu zawodowi i przez 20 powojennych lat był kierowcą.

Z czterech „Cichociemnych", którzy byli w grupie uderzeniowej, żyje dwóch: „Kawa" i „Kra". Obaj po Pińsku zostali skierowani jako oficerowie dywersji na Wołyń i Podole i tam walczyli do końca wojny, dosługując się stopni kapitanów. Dziś kpt. „Kawa" — Michał Fijałka, jest dyrektorem internatu Technikum Mechanizacji Rolnictwa w Lublinie, zaś kpt. „Kra" — Wacław Kopisto, mieszka w Rzeszowie.

„Ponury" i „Czarka" nie przeżyli wojny. „Ponury" — Jan Piwnik, już w maju 1943 r. stworzył prawie 400-osobowy oddział w Górach Świętokrzyskich, w swych rodzinnych stronach, bo urodził się we wsi Janowice, w pow. ostrowieckim i tam przez pół roku bardzo zalał Niemcom sadła za skórę. Przeniesiony na wiosnę 1944 r. na Wileńszczyznę, dowodził tam partyzanckim batalionem. Zginął 16 czerwca 1944 r. prowadząc atak swego batalionu na niemieckie bunkry.

„Czarka" — por. Jan Rogowski, poszedł wraz z przyjacielem w Góry Świętokrzyskie i w czasie zdobywania niemieckiego pociągu w lipcu 1943 r. został ciężko ranny. Po ozdrowieniu, z bezwładną ręką, był dowódcą bazy zaopatrzenia partyzantki w Warszawie. 3 stycznia 1944 r., gdy wiózł ciężarówką koce i ubrania dla żołnierzy z lasu, został aresztowany pod Białobrzegami i po śledztwie rozstrzelany w obozie koncentracyjnym w Gross-Rosen.

Razem z nim walczył w Górach Świętokrzyskich „Pakunek". Miał wtedy pseudonim „Cichy". Dzisiaj ten dzielny partyzant nazywa się Henryk Fedorowicz i buduje okręty w Gdańsku.

Jeżeli chcecie kupić w Warszawie dobre płyty, dostaniecie je bez trudu w księgarni Wydawnictwa MON na Krakowskim Przedmieściu. Starszy, uprzejmy pan doradzi wam, co jest warte zakupu. Pan ten nazywa się Zygmunt Sulima, a w 1943 r. w mundurze SS-mana wjeżdżał z „Ponurym" samochodem do więzienia w Pińsku.

„Ryks" — Czesław Hołub, jest drugim obok „Pakunka" członkiem konspiracji brzeskiej, który uczestniczył w rozbiciu więzienia pińskiego. Przeżył on wojnę. Mieszka dziś w Szczecinie przy ul. Bałtyckiej 3 i jak pisze w liście, który otrzymałem dopiero trzy miesiące temu, po 23 latach dowiedział się o losach ludzi, z którymi uwalniał kpt. „Wanię".

Jeżeli ciekawią was jakieś bliższe szczegóły tej brawurowej akcji, zaproście na zbiórkę drużyny jej żyjących uczestników, a zapewne chętnie opowiedzą wam wiele interesujących rzeczy.

„Kapelan" — ks. Jan Jaziewicz, zginął jako dowódca oddziału partyzanckiego za Bugiem, zaś „Antoni-Mały" lub „Grom" — Roman Korczak lub Kończak — w czasie powstania warszawskiego, na Czerniakowie.

Pozostali uczestnicy z grupy brzeskiej nie przeżyli wojny. „Dym" — Skwierczyński, aresztowany wraz z bratem i ojcem w Brześciu, został stracony w więzieniu, ale jeszcze przed śmiercią zdołał przesłać gryps, powiadamiając organizację, kto spowodował jego aresztowanie. „Kmicic" — Wiktor Hołub, również aresztowany w marcu 1943 r. i rozstrzelany. „Płomień" — Władysław Westwalewicz, aresztowany w lutym 1943 r., torturowany, z obawy, by nie wydać kolegów, popełnił samobójstwo. Zginął również „Wrona", żołnierz niewiadomego nazwiska, miał na imię Władysław, papiery zaś na nazwisko Iliczuk. Czy było to jego nazwisko prawdziwe, nie wiadomo. Aresztowany na dworcu kolejowym w Brześciu w dniu 20 lutego 1943, został rozstrzelany w marcu tego roku. „Jastrząb" zaś — Zbigniew Słomczyński, zdołał zbiec ze swego mieszkania przed nalotem gestapo. Ukrył się w mieszkaniu przyjaciela, po którego tej samej nocy przyjechali Niemcy. Nie chcąc narazić niewinnych ludzi, strzelił sobie w skroń. Ciężko rannego, Niemcy uratowali, ale wobec tego, że w wyniku rany stał się dla nich bezwartościowy, bo stracił mowę, został rostrzelany.

Jeden tylko z tej grupy — „Jurek", zwany „Motorem", stał się parszywą owcą. Niedługo po akcji pińskiej przeszedł na niemiecką służbę jako agent gestapo. To on oddał w ręce niemieckie „Czarkę", on był winny śmierci „Azora", on wreszcie wydał, gdzie inż. „Korebko" produkuje pistolety maszynowe (o czym czytaliście niedawno w „Świecie Młodych"). Oficjalnie udawał przyjaciela „Ponurego" i był w jego oddziałach dowódcą taborów, a potem łącznikiem. Wytropiono go i nie było litości dla zdrajcy. W oddziale „Ponurego" zapadł na niego wyrok śmierci, a wykonali go jego niedawni koledzy.

Prowadząc od trzech lat żmudne poszukiwania, w celu odnalezienia żyjących lub poległych uczestników rozbicia więzienia w Pińsku, nie trafiłem jedynie na dalsze losy jednego żołnierza, który nosił pseudonim „Dzik".

I w tej sprawie, a także nie tylko w tej, chcę się zwrócić, do młodych czytelników „Świata Młodych". Pomóżcie mi odnaleźć „Dzika", oraz rodziny poległych żołnierzy grupy brzeskiej: „Dyma" — Skwierczyńskiego, „Płomienia" — Westwalewicza, „Wrony" — Władysława nieznanego nazwiska (może Iliczuk?) i „Jastrzębia" — Zbig-

Od lewej „KRA" — Wacław Kopisto, autor artykułu red. C. Chlebowski, „KAWA" — Michał Fijałka z żoną. Zdjęcie wykonane w październiku 1965 roku w Warszawie.

Dr Alfred Paczkowski. Kpt. Wania. Zdjęcie okupacyjne.

Por. „Donat Ponury" — Jan Piwnik, dowódca grupy rozbijającej pińskie więzienie. Zginął 16. 6. 44 roku pod Jelowaszami, zdobywając niemiecki bunkier.

niewa Słomczyńskiego. „Wronie" Komendant Główny AK nadał Krzyż Walecznych — zdaje się dotychczas nie wręczony, inni dostali pochwały na piśmie, których oryginały znajdują się w Wojskowym Instytucie Historycznym i także nie zostały wręczone. W czasie konspiracji nie było można tego zrobić, gdyż, zanim je przesłano z Warszawy do Brześcia, żołnierze ci zginęli. Po wojnie zaś przez 22 lata leżały w ziemi i dopiero 1 marca ub. roku odnaleziono je w odkrytym archiwum Komendanta Organizacji „Wachlarz" płk. Grocholskiego.

Jeżeli dowiecie się — może z rozmów z rodzicami — czegokolwiek w interesującej mnie sprawie, choćby najdrobniejszy szczegół, dajcie mi znać za pośrednictwem redakcji. Dobrze? Oczekuję waszych listów.

CEZARY CHLEBOWSKI

Pieczywo dla króla

PRĄDNIK POD KRAKOWEM słynął kiedyś z wypieku bardzo smacznego chleba. Jeszcze ostatniemu naszemu królowi, Stanisławowi Poniatowskiemu, burmistrz Krakowa woził co roku do Warszawy pierwszy chleb prądnicki z nowego ziarna.

Również za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego, w roku 1764, piekarz warszawski, Gottlieb Szyler, upraszał Jego Królewską Mość, aby raczył przyjąć ofiarowaną strucle, która była 7 łokci długa — na pamiątkę, że wybór króla nastąpił 7 września, mąka do niej była z 17 młynów — dlatego, że król urodził się 17 stycznia, rozmaitych przypraw wzięto do niej 32 — stosownie do lat króla.

Tę ogromną strucle niosło dziewięcioro dzieci Szylera, gdyż we wrześniu, a więc w dziewiątym miesiącu roku, odbyła się elekcja króla.

Serwis dla szacha Iranu

ZAKŁADY PORCELANY stołowej „Krzysztof" w Wałbrzychu otrzymały zamówienie na wykonanie serwisu dla dworu szacha Iranu — Rezy Pahlawi. Serwis będzie bogato zdobiony złotem w oryginalną ornamentykę staroperską. „Krzysztof" otrzyma za to zamówienie blisko milion złotych dewizowych. Wyroby „Krzysztofa" cieszą się za granicą doskonałą opinią. Zakłady te wykonywały już zamówienie na dostawę porcelany dla prezydenta USA.

Szalony budzik

Najnowszy zegar-budzik, wyprodukowany we Francji, otrzymał nazwę „szalonego". O nastawionej godzinie budzik zaczyna podskakiwać na stoliku, wyrzucając jednocześnie z siebie wodę kolońską lub tabakę. Jeśli nie zostanie wyłączony, jego mechanizm zaczyna wydawać dźwięki, przypominające „ciężkie kroki chodzącej po pokoju obcej osoby". Podobno próbie tej musi sprostać nawet najbardziej zatwardziały śpioch.

HALO — CO SŁYCHAĆ?

HARCERSKIE DARY dla wietnamskich kolegów

KTÓŻ NIE ZNA z historii Manifestu Połanieckiego? Otóż około 15 km przed Połańcem, a 5 km za Staszowem, leży inna wieś historyczna — Rytwiany — dawna posiadłość Radziwiłłów. Liczy około 300 zagród, ma przedszkole, izbę porodową, cegielnię, zakłady naprawcze mechanizacji rolnictwa i oczywiście szkołę — ośmioklasową. Tutaj jest szczep składający się z 5 drużyn — 3 zuchowych i 2 młodszoharcerskich.

One to właśnie zajęły II miejsce w konkursie odnajdywania skarbów przeszłości, ogłoszonym przez redakcję tygodnika „Wieści". Harcerze na strychu, w swojej wsi, znaleźli rękopis historyczny z XVIII wieku. Oni zawsze są w „kursie dzieła".

Z ich to właśnie inicjatywy rozpoczęto w całej Chorągwi Kieleckiej zbieranie darów dla wietnamskich dzieci. Są to zeszyty, ołówki, kredki, ekierki, zabawki a nawet ubrania. Samo Technikum Ekonomiczne w Kielcach, złożyło 17 paczek. Razem tego jest około 100 paczek, o łącznej wadze około 1000 kg. 20 stycznia akcja zbiórki została zakończona. Harcerze przygotowują paczki do wysyłki.

„Harcerz chce zmieniać świat na lepsze, jest zawsze z tymi, co walczą o wolność i równość ludzi" — mówi prawo harcerskie, a także: „Harcerz śpieszy innym z pomocą, nie opuści nikogo w potrzebie". Czyż wobec tego można się temu dziwić, że akcja składania darów dla wietnamskich dzieci spontanicznie zespoliła większość drużyn w całym kraju i już dała tak pokaźne wyniki: harcerze białostoccy zebrali około 1000 kg, szczecińscy ok. 2000 kg, opolscy 4000 kg pomocy szkolnych.

Podobnie jak w Kielcach wszędzie już przystąpiono do organizowania wysyłki darów do Wietnamu.

STEFAN KOJŁO
Zdjęcie autora.

Na zdjęciu: Jacek Raczomski, Andrzej Domoń, Wojtek Ekierth, Jurek Gomuła, Arek Biesaga i Marek Chyliński z 42 Kieleckiej DH przygotowują paczki złożone przez kieleckich harcerzy do wysyłki do Wietnamu.

BILETY WIZYTOWE

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

Z jakich miast i z jakich krajów przyjechali ci panowie?

W każdym bilecie wizytowym należy tak poprzestawiać litery, by utworzyły one nazwę miasta.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie: Spróbuj rozwiązać. Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

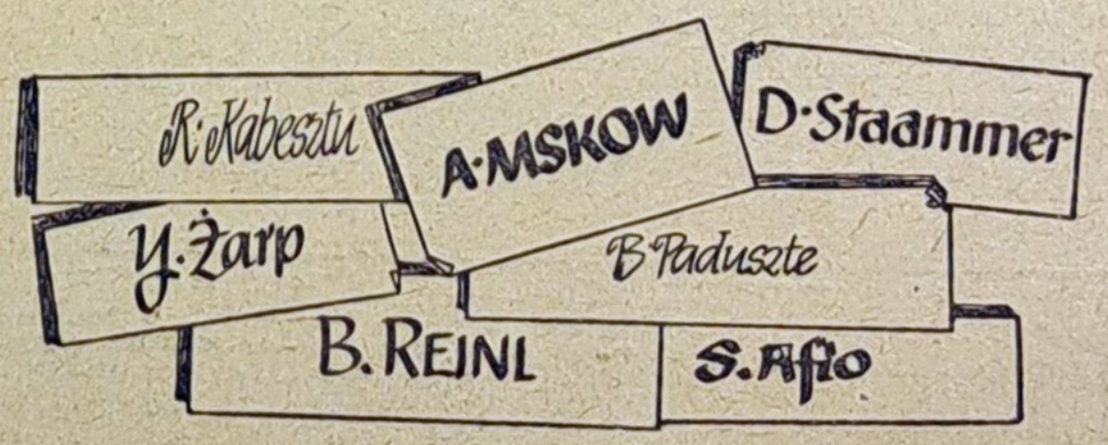

TYTUS ROMEK A'TOMEK

H. CHMIELEWSKI

MAŁY DŁUGODYSTANSOWIEC

SPOŚRÓD 319 znanych gatunków kolibrów największe osiągają rozmiary wróbla, a najmniejsze ważą zaledwie 1,8 grama. Pomimo małych rozmiarów ptaki te należą do najlepiej latających: nie tylko utrzymują się na skrzydłach przez cały dzień (nektar z kwiatów wypijają bowiem bez siadania na kwiecie), ale wyróżniają się także niezrównaną zwrotnością.

Ostatnio stwierdzono, że niektóre kolibry potrafią przebywać ogromne odległości, są bowiem gatunki, które w czasie sezonowych przelotów zdolne są przelecieć od jednego razu z delty Missisipi na Jukatan, czyli 1000 kilometrów, nad Zatoką Meksykańską. Kolibry te przed przelotem obrastają tłuszczem, zwiększając wagę swego ciała o połowę. Koliber, pokazany na zdjęciu, ma mięśnie skrzydeł, które stanowią 25 procent wagi całego ptaka. Jest to odsetek znacznie wyższy niż u albatrosów i fregat, które należą do bardzo wytrzymałych na długie loty ptaków.

Skarby w zatopionym okręcie

Pięciu nowozelandzkich płetwonurków natrafiło u wybrzeży swego kraju na ślad okrętu, który zatonął w roku 1902. Jak głosi fama, na statku tym ma się znajdować złoto wartości około 75 tysięcy dolarów. Płetwonurkowie zamierzają wydobyć skarb na powierzchnię. Statek zatonął na głębokości 30 metrów.

ŚWIAT MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół: Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 145. T-38

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24